



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

SŁOWO-DZIENNIK KATOLICKI

00-551 WARSZAWA

ul. Mokołowska 43

Nr 7 10 2 01-96

W krakowskim Teatrze „Bagatela” odbyła się w grudniu ubiegłego roku premiera „Love story”. Pomysł mało oryginalny, lecz odważny – przetransponować dziś na scenę fenomen powieściowy i filmowy sprzed 25 lat!

Opisany w tym wydarzeniu napisano już wystarczająco dużo. Ale to było dawno, może więc warto co nieco przypomnieć. Już w 1971 r. nakład powieści – bestselleru Ericha Segala osiągnął 15 mln egzemplarzy. Przełożono ją na 20 języków. Segal został multimilionerem i twierdził, że nie chodziło mu o karierę pisarską, ale o to, by udowodnić, że młodzież jest inna niż się sądzi. Sięgnął po arcybanalny wzór na temat pięknej miłości dwojga młodych, miłości, która musi pokonać wiele przeszkód i barier, aby wreszcie rozkwitnąć śmiercią ukochanej. A może to nie tylko rzecz o miłości? Może także realistyczny w najdrobniejszych szczegółach dokument obyczajowo-społeczny? Tak czy inaczej, ten „wyciskacz łez” w wersji filmowej w stosunkowo krótkim czasie prześcignął „Przemienię z wiatrem” pod względem dochodu.

Jak coś takiego, obciążonego zdumiewającą karierą literacko-filmową, przenieść na scenę? Jak na to dziś patrzeć? Temat do ważkiej refleksji. Wzrost dokumentalno-po-

znanoczy odpada. Fabularno-sceniczny także. Cóż pozostało? Wartość wzruszeniowa i oczyszczająca? Być może, ale to przecież wartość nie do pogardzenia. Jak to kiedyś napi-

sano – zaskoczenie i radość, że „na kompoście pornografii, brutalności itp. dzisiejszego kina wyrósł ten niewinny kwiatek”.

W „Bagateli” skorzystano z adaptacji scenicznej Oskara Weinerta. Reżyserem i autorem scenografii jest Tomasz A. Dutkiewicz. Scenografia jest fatalna: przedstawia kiczowate wnętrza wyblaszczzonego baru z krakowskimi i żywieckimi reklamami trunków, przy kontuarze i stolikach siedzą goście, którzy za chwilę okażą się aktorami, szczegó-

nie tych dwoje: Łukasz Żurek (Oliver) i Alina Kamińska (Jenny), bo inni przeważnie siedzą, nudząc się w głupim zniecierpliwieniu i czekaniu na swoje epizodyczne kwestie, poza którymi stanowią dziwaczne tło statystów.

Tym pięknie kontrastuje z nim tych dwoje utalentowanych protagonistów, zdoby-

wać ludzką tragedię; utrzymali się w granicach artystycznej dyscypliny. Zwyciężył urok młodości, powściągliwość, sztuka bycia na scenie. Publiczność, w znacznej części młoda, nagradza wykonawców szczerymi brawami za dar jaśniejszego spojrzenia na samą siebie.

Czyż to nie lepsze od sięgania po głupie „harlekiny” czy bezmyślnego gapienia się na puste obrazki, przelatujące przez ekran telewizyjny? „Love story” jako teatralne katharsis? Jako sceniczny element edukacji sentymentalnej? Dlaczegoż by nie! Przeciw zdziczeniu obyczajów. Przeciw brutalizacji i zakłamaniu życia.

Przedstawienie zaczyna się i kończy wyznaniem Olivera: „Co można powiedzieć o dziewczynie zmarłej w dwudziestym czwartym roku życia? Że kochała Bacha, Beethovena i Mozarta. I Beatlesów. I mnie”.

Najistotniejsze dla całej opowieści jest więc, kim była zmarła dziewczyna. Musiało być w niej coś więcej niż to, czego dowiadujemy się w pierwszym zdaniu. Inaczej nie byłoby po co robić spektaklu. Spektakl właśnie wzruszająco o tym opowiada.

KAZIMIERZ KANIA

„Love story” na scenie